

# KONINIANA

MIESIĘCZNIK Towarzystwa Przyjaciół<sup>3</sup> Konina

17-23 maja 2005 r.

NR 5 (26)

1. Z kart przeszłości – ciekawostki z dawnej prasy konińskiej
2. Ze wspomnień – przedruk fragmentów pamiętników i wspomnień
3. Z dziejów Konina – artykuły o treściach historycznych, archiwalia
4. Tworzyli wizerunek miasta – sylwetki ludzi zasłużonych dla miasta
5. Naszym zdaniem – wypowiedzi na aktualne tematy dotyczące rozwoju miasta
6. Inspiracje kulturalne – poezja, proza, rysunek konińskich twórców
7. Z życia TPK – zapowiedzi i sprawozdania z imprez, konferencji, zebrań
8. Barwy codzienności – podpatrzone fotoobiektywem obiekty w mieście
9. Odpowiedzi redakcji
10. Oko w oko – konkursy ze znajomości miasta dla Czytelników
11. Inne – tematy inne niż wymienione powyżej



## Witam – naręczem majowego bzu - najmilszych naszych Czytelników

I choć specjalnie nie liczyliśmy, że w najbliższym tygodniu w weekend, święt, Benedyktów, pilnych prac działkowo-ogrodowych znajdziecie Państwo czas na telefony z gratulacjami i słowami otuchy oraz dopingu, to z absolutnym niedowierzaniem odbieraliśmy wiadomości, że na zdjęciach wyszliśmy „nie żyje”. Natomiast od uwierzenia jest Państwa wersja, że wcale nie jest tak tragicznie.

Z satysfakcją również donoszą, że Jan Kaczmarek „z przyjemnością” – jak sam powiedział – przyjął od nas honorową odznakę Towarzystwa Przyjaciół Konina. Notabene znaczek zafundował Towarzystwu p. Prezydent, za co serdecznie dziękujemy.

Teraz ad res meritum. Janusz

Gulczyński, z waciami sobie dokładając, opisuje, jaka powinna być flaga narodowa oraz kiedy i jak ją używać. Przy okazji jako ciekawostkę pokazujemy fotokopię z oryginału książki wydanej w 1793 roku we Lwowie o Konstytucji 3 Maja. Lech Hejman, bazując na materiałach Józefa Lewandowskiego, ukazuje związki przodków Jana Kotta z Koninem. Cymesik wart uratowania od zapomnienia. Piotr Rybczyński sięgnął do starego Pitavala i opisuje synne konińskie procesy słodowe. Niestety i tak również drzewiej bywało. Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy) wspomina przedindustrialne krajobrazy pięknej, zbyt „gwałtownie przebudzonej” Ziemi Konińskiej. Zaś (młodszy) Włodzimierz Kowalczykiewicz kreśli z pasją losy konińskich ogrodników i ich ogrodów. (Od wielu lat nie udaje mi się, niestety, kupić pomidora z „tamtych” smakami). Janek

Sznajder wyrażenia, jak wyglądało życie kawiarniane w „dawnym” Koninie. Obawiam się, że temat zaczyna być dla niego nieco obsesyjny.

Weneta tym razem również o wiośnie, ale prozą oraz historycznie – też pięknie. Danuta Olczak w odpowiedzi „papięskiemu ministrantowi” przesyła przepiękne stosowne wiersze. Lech Stefaniak zaś bardzo poetycko liczy drzewa, krzaki i żyłki trawy w naszym uroczym miasteczku i wychodzi mu deficyt, co chyba znów jest prawdą. Witamy również na łamach pani Marii Matczak – jak to bywa z debiutantami zaczyna od erotyków – państwo ocenił oczywiście sami. Natomiast ja sprzącam zastarzały długi wobec Andrzeja Mosia, który jeszcze w ubiegłym wieku pięknie opisał moje dwudziestolecie pracy w „Hutniku”. Dzisiaj to ja próbuję opisać niekwestionowane osiągnięcia artystyczne

Andrzeja – przyjacielu ad multos annos!

**Z wiosennymi pozdrowieniami**  
Stanisław Sroczyński

PS „Poeci do piór” – czas ucieka (Milowy Słup).

PS Znaczek Towarzystwa Przyjaciół Konina jest do nabycia w sekretariacie Biblioteki Miejskiej przy ul. Dworcowej oraz w wypożyczalni w starym Koninie przy ul. Mickiewicza



## Majowe refleksje o fladze biało-czerwonej

O fladze biało-czerwonej, symbolu państwowym Rzeczypospolitej Polskiej, myślałem napisać od dawna. Z roku na rok rosła we mnie taka wewnętrzna potrzeba, zwąszcza około corocznych świąt państwowych, np. 3 maja, 15 sierpnia, 11 listopada. Pojawiają się wówczas na budynkach urzędów, gmachach, także – chociaż rzadziej – w oknach i na balkonach domów prywatnych – flagi biało-czerwone. Maj akcentować i symbolizować przywiązanie do patriotyzmu, historii, tradycji, różnorodnych wartości narodowych.

Od paru też lat w bliskości wspomnianych wyżej świąt pojawiają się w publikacjach (prasie, radiu, telewizji) swego rodzaju lekcje uczenia i apele do społeczeństwa o godne obchodzenie dziejowych rocznic i wywieszanie flag o barwach narodowych. Niektóre sklepy, instytucje, nawet prasowe redakcje (w tym również „Przebieg Konin”) prowadzą akcje rozprowadzania flag biało-czerwonych, idąc z pomocą ludziom w spełnieniu ich obywatelskiego obowiązku.

Gdyby jednak zapytać (a byłoby prowadzone niejednokrotnie takie sondażowe i ankiety) o treść narodowych symboli, podobnie jak i o pochodzenie świąt państwowych – to badania takie wyszłyby (jak zazwyczaj) dość mało, z niewiedzą, myleniem pojęć, dat, faktów historycznych itp.

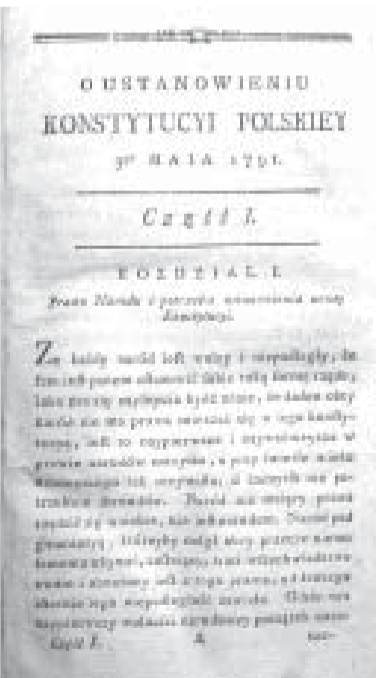
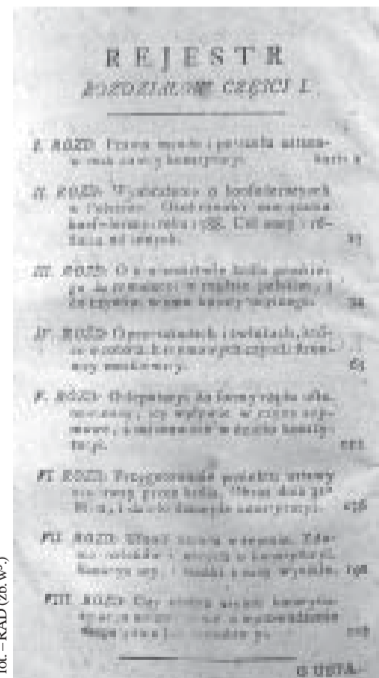
Okazuje się, że niewiele wiemy jako społeczeństwo o rodowodzie święta 3 maja, 11 listopada..., podobnie szwankuje wiedza odnośnie symboli narodowych: godła, hymnu, w tym również flagi biało-czerwonej.

Tegoroczny maj, obfitując świętami i dniami rocznicowymi, spowodował, że flagi

państwowe na niektórych budynkach wisiały niemal kilka tygodni. Najpierw (Święto Pracy (1 maja), potem ustanowiony w lutym 2004 r. Dzień Flagi Rzeczypospolitej Polskiej (2 maja), następnie rocznica Konstytucji z 1791 r. – pierwszej w Europie nowoczesnej ustawy rządowej i drugiej w świecie, po amerykańskiej (3 maja); wreszcie 60. rocznica zakończenia II wojny światowej

kto wolał wybrać i wywiesić, jakby to było obojętne.

Obojętnym jednak nie jest. Do szczegółów przedstawiania symboli państwowych (także flagi biało-czerwonej) odnoszą się określone przepisy, ba: flagami, sztandarami, chorągwiemi, banderami, proporcami etc. zajmuje się jedna z nauk pomocniczych historii – weksykologia.



wej w Europie (8-9 maja). Należałoby do tego dodać dni wcześniejsze: pierwszy tydzień kwietnia – czerwiec i pogrzeb Jana Pawła II i cięgnie się nam kilkutygodniowy biało-czerwony okres świętości i pamięci narodowej. Zarówno w miastach i wsiach w kwietniu i maju od flag w kolorach narodowych. Można je było zobaczyć w różnych rozmiarach, z różnymi odcieniami czerwieni, z godłem (Orłem Białym) i bez godła – jak!

Wzajemnie weksykologów i heraldyków określają, iż barwy polskie biało-czerwone pochodzą z XIV wieku, kiedy to na szerszą skalę zaczęto przedstawiać symbol państwa na chorągwiach i proporcach – znak Orła Białego na czerwonym polu. Z czasem formy przedstawiania godła i barw narodowych nieco się zmieniały. Obecna postać flagi ustanowiona została i zatwierdzona dużo później, bo dopiero

w 1831 r. i jak wspomnieliśmy się przyjmują stanowią one prostokątne tkaniny złożone z dwóch poziomych pasów; biały na górze, czerwony u dołu. Stosunek długości do szerokości – 8:5. Czerwień nie jest odcieniem purpury, szkarłatu, karmazynu (jak się często widzi), a raczej powinna być zbliżona do cynobru. Zaznaczone zostały w ten sposób przypisane przez historię cechy państwu i narodowi polskiemu: biel symbolizuje cnotę i czystość, zaś czerwień, będąca znakiem krwi – męstwo, odwagę i cierpienie.

Jeszcze jedno – nie umieszcza się na oficjalnej fladze państwowej biało-czerwonej godła państwowego. Flaga z godłem używana jest przez polskie placówki, misje, delegacje za granicą, także przez statki morskie jako bandera.

To tyle w ogromnym skrócie, bo przeciętny może na by temat rozwinąć. Jak mają się do przepisów różne flagi, które widziałyśmy chociażby ostatnio, w kwietniu i maju bieżącego roku (?). Różne rozmiary bez zachowania proporcji, różne odcienie czerwieni (niektóre wręcz wieniole), dużo różnic z godłem na białym pasie – bo tak się wydaje, że jest ładniej i dostojniej, ale tak przeciętny nie może na.

I końcowa refleksja. Fladze państwowej należy się szczególna czułość i szacunek. Nie chciałbym popaść w zbyt niemiły patos, ale to co się widzi wspaniale i wręcz oburzające. Na meczach piłkarskich i w ogóle imprezach sportowych flagi trzymane są nie na drzewcach, a bywają targane i łamane w rękach. Ponadto różne napisy i hasła umieszczane są na białym pasie tkaniny. Widzimy także zniekształcenia barw narodowych na różnych manifestacjach, spotkaniach politycznych, uroczystościach religijnych; nader często w Watykanie na spotkaniach pielgrzymek polskich z papieżem. Przykro powiedzieć, ale pewne zachowania graniczą niekiedy z profanacją symboli państwowonarodowych.

Janusz Gulczyński



## WIERSZE

### Danuty Olczak

#### Przebaczenie

Na bia³ej szacie prawdy  
plama tego œwiata  
chora nienawioœæ  
potrzebowa³a krwi  
zraniono syna polskiej ziemi

rzymskie go³êbie wzbi³y siê  
w niebo  
zanos³y Bogu swój krzyk  
poblady œwiête kamienie

w ciszy wyros³o drzewo krzy¿a

modli³eœæ siê za brata - który  
najbardziej zrani³ siebie  
a potem w celi  
przebaczenie mia³o kolor œwiat³a

Ojcze œwiête  
nauczycie nas Boga w cz³owieku...

\* \* \*

A przecie¿ nie ca³y umieram.  
To, co we mnie niezniszczalne, trwa!  
Jan Pawa³ II  
„Tryptyk rzymski”

Niestrudzony  
Pielgrzymie pokoju

nie umar³eœæ -  
pozosta³eœæ w ludziach  
i s³owach...

Obroñco Prawdy  
Pasterzu

nie umar³eœæ -  
¿yjiesz w Domu Ojca

liczysz na nas...



## Z kart historii



### Zwi¹zek rodziny Jana Kotta z Koninem

Edelz¹cy materia³y o Koninie w prasie europejskiej i œwiatowej profesor Józef Lewandowski przekaza³ na moje rêce wywiad z Janem Kottem (mieszka w USA) zamieszczony w serii artyku³ów prywatnych W³odka Rychtera.

Jan Kott, znany w œrodowisku literackim autor „Poematu dla doros³ych”, w którym zapocz¹tkowa³ krytyczn¹ ocenê poetyki socrealistycznej, prze³ama³ tym samym wiernopoddani³stwo wzorom radzieckim w dziedzi-

nie poetyckiej. Po wymuszonym wyje¿dzie w 1968 r. do USA pisa³ eseje, teksty krytyczne, poezje, du¿o t³umaczy³.

Przodkowie Jana Kotta ze strony ojca i matki w koñcu XIX wieku przenieœli siê z Konina do Warszawy. Przodek ojca Markus Lewi Kott, co sprawdz¹em w koniñskim archiwum pañstwowym, w naszym mieœcie zajmowa³ siê kupiectwem. Pewnie dorobi³ siê sporych pieniêdzy handluj¹c towarami sprowadzanymi g³ównie z Niemiec:

tekstylami, wyrobami metalowymi, ceramik¹ itp., sam wywo³¹c z licznych maj¹tków podkoniñskich surowce ¿ywnoœciowe: zbo¿e, drób, byd³o, jaja, a tak¿e drewno, we³nê itp., skoro jako szanowany obywatel nale¿a³ do Zgromadzenia Kupieckiego maj¹cego w swoich szeregach raczej kupców polskich, oraz w latach szeœædzies¹tych powierzono mu obowi¹zki cz³onka gminy ¿ydowskiej. Po przeniesieniu do Warszawy rodzina szybko zasymilowa³a siê, w³szczy³a, tak ¿e póŹniejszy potomek, w³aczenie Jan Kott, przyj¹³ jako swój¹ wiarê chrzeœcijañstwo nie uto¿samiaj¹c siê z judaizmem. Z tego powodu nie mia³ ¿adnych zatargów z kolegami studentami na uniwersytecie warszawskim. Niestety wydarzenia w Polsce w roku 1968 zmusi³y resztki niewymordowanej przez Niemców jego rodziny do emigracji.

Lech Hejman



W³odzimierz Kowalczykiewicz (m³odszy)

### Koniñscy ogrodnicy

Pan Piotr Rybczyñski w swojej ksi¹¿ce pt: „Spacerkiem w przesz³oœæ - Szkice z dziejów Konina” dokumentuj¹c informacje, jak na historyka przysta³o, umieœci³ zdjêcie obrysu planu miasta Konina z 1803 roku. Z publikacji korzystam bardzo czêœto, lecz dopiero niedawno mojà uwagê zwróci³y zaznaczone na fotografii istniej¹ce ówczesne ogrody. W zapisach lustracyjnych z 1580 roku przeczyta³em: „Z domów, z ogrodów, z placów, ¿adnego czynszu nie dawaj¹.” Wzbogacony o tak cenne wiadomoœci wyci¹gn¹³em banalny wniosek: je¿eli ju¿ wówczas w naszym mieœcie funkcjonowa³y ogrody, to musieli byæ i ogrodnicy. Jak nazywa³ siê pierwszy koniñski ogrodnik? Dlaczego z ogrodów na rzecz miasta czynszu nie p³acili? Odpowiedzi na te oraz wiele innych pytañ pozostawiam historykom.

Osobiœcie pragnê przypomnieæ ogrodników, których znaleźmy, winniemy znaæ lub tylko o nich s³yszeliœmy. Ze wzglêdu na zbyt obszerny temat, proponujê uj¹æ go w pewne ramy czasowe. Wêdrówkê w przesz³oœæ zaczniemy od pocz¹tku lat dwudziestych. To wówczas pierwszy krok w nauce tego trudnego, ale jak¿e wdziêcznego zawodu zaczynali protoplacæci ca³ych rodzin, paraj¹cych siê póŹniej ogrodnictwem. Wspomnienia zakoñczmy na prze³omie lat szeœædzies¹tych i siedemdzies¹tych.

Dzie wystarczy otworzyæ ksi¹¿kê, by uzyskaæ wiadomoœci na temat uprawy danej roœliny. Wówczas wspomniane „umiejêtnoœci” posiadali tylko ogrodnicy. By takowe posi¹ææ musieli odbyæ d³ug¹ praktykê, najczêœciej w gospodarstwach z tradycjami. Jednym z takich miejsc by³o ogrodnictwo Wawrzyñca Szyd³owskiego z siedzib¹ przy parku miejskim. Pod jego czujnym okiem arkana zawodu poznawali: Jan B¹kowski, Edmund Êêt, Edmund Naworski. Po II wojnie œwiatowej wspomniani panowie zastêpuj¹c nauczyciela przez wiele lat nadzorowali

ogrodnictwo komunalne. Nauki wspólnie z kolegami pobiera³ równie¿ Antoni Goœciniak, póŹniejszy ziêœ Wawrzyñca Szyd³owskiego. Po 1945 roku, wraz z teœciem swoje ogrodnictwo zacz¹³ prowadziæ przy ulicy œwiêtojañskiej.

Kolejnym ogrodnictwem, w którym przyuczano siê do zawodu, nale¿a³o do pana Józefa Wiaka. Posiada³ on dwa ogrody, jeden przy ulicy Kiliñskiego, a drugi rozci¹ga³ siê wzd³u¿ dzisiejszej ulicy Benesza. Pod nadzorem w³aciciela szkoli³ siê w nim: Stefan Jacolik, Eugeniusz Êliwcyñski i Józef WoŹniak. Wymieni³em tylko tych, którzy w póŹniejszym okresie prowadzili w³asne ogrodnictwa.

Wracaj¹c myœlami do lat dwudziestych i trzydziestych nale¿y wspomnieæ o ogrodzie „wojskowym” znajduj¹cym siê nied³ugo przy ulicy D¹browskiego. Dzie w tym miejscu stoj¹ domy jednorodzinne. W ogrodnictwie uprawiano owoce, warzywa i kwiaty na potrzeby kwaterunku 10. Pu³ku Strzelców Wielkopolskich, a póŹniej Szko³y Podoficerskiej. Prowadz¹cym uprawy by³ z pochodzenia Francuz pan Bolanche.

Wiadomoœci o uprawie roœlin zdobywano równie¿ w prowadzonych od pokoleñ gospodarstwach rodzinnych. W Koninie takowe nale¿a³y do rodzin: Gêsiickich, Kolañskich, Sanigórskich.

Dziêki wieloletniej praktyce największe zdolnoœci w doborze sadzonek, prawid³owoœci i odpowiedniego czasu ich przycinania posiadali: Edmund Êêt i Aleksander Sanigórski. Zatrzymajmy siê na chwilê przy tej ostatniej postaci. Swoj¹ fachowoœæ wyniós³ z domu rodzinnego, a po¿ytkowa³ j¹ w ogrodnictwie przy ulicy Szpitalnej. Podczas drugiej wojny œwiatowej zosta³ zes³any na roboty do Niemiec. Tam spotka³ siê z wy¿sz¹ kultur¹ uprawy roœlin. Po powrocie zacz¹³ wprowadzaæ j¹ w swoim ogrodnictwie, dziel¹c siê wiadomoœciami z kolegami.

dok. w nastêpnym numerze



### Ho³d dêbowi...

Jeden z kardynalnych zasad wpisanych w porz¹dek œwiata jest przemijalnoœæ. Ca³y dostêpny naszemu poznaniu Wszechœwiat zanurzony jest w rzece czasu. Zapalaj¹ siê i gasn¹ gwiazdy, wypietrzaj¹ i rozmywaj¹ ³añcuchy górskie, wysychaj¹ jeziora.

W przyrodzie o¿ywionej pod wzglêdem d³ugowiecznoœci przoduj¹ drzewa, oczywiœcie jeœli pomin¹æ przypadek bakterii i kilku innych podobnych stworzeñ mog¹cych mno¿yæ siê i odnawiaæ w nieskoñczonoœæ lub zastygaa w przetrwalnikowej formie na tys¹clecia. Myœlê tu o organizmach wyraŹnie ró¿ni¹cych siê od siebie, z tzw. charakterem. Drzewa ten charakter bez w¹tpienia posiadaj¹, pod warunkiem oczywiœcie, ¿e pozwoli siê im dorosn¹æ, tak jak ludziom. Wiele drzew „dorobi³o” siê w³asnego wizerunku w literaturze, imion i legend na swój te-

mat. Dziadek Edmund po przyje¿dzie na Ziemiê Odzyskan¹ w 1945 roku zapisa³ opowiadani¹ przez tzw. autochtonów – niedobitki s³owiañskiej, polskiej ludnoœci kryj¹ce siê po leœnych osadach i przedmieœciach legendê o „œpi¹cych drzewach” – œpi¹cych dos³ownie, jak owi rycerze w Tatrach, by kiedyœ obudzi¹ siê i zrobiæ porz¹dek na œwiecie, i po drugie, jako sprowadzaj¹cych wieszczê sny na tych, którzy pod nimi zasnêli. Piszê o tym dlatego, bo w naszej ludowej mitologii z podobnymi przekazami siê nie spotka³em, wiêc rzecz przynajmniej sygnalizujê.

S³owiañska mi³oœæ do drzew, szczególnie dêbów i lip, by³a wyj¹tkowa, wiêc te¿ specjalnie gorliwie j¹ wraz z ca³ym pogañskim systemem wierzeñ têpiono, wreszcie wraz z nimi zosta³a dok³adnie wykarczowana, tak ¿e dzie-

ich kult kojarzy siê bardziej z Germanami, którzy wyroili siê z ja³owej i iglastej Skandynawii.

Rozgl¹dam siê po naszym mieœcie i niewiele widzê wspania³ych okazów czczonych kiedyœ drzew. Brak przede wszystkim nowych nasadzeñ, nie wiada¿ adnej, przemyœlanej w tym wzglêdzie polityki samorz¹du. Sadzi siê obcego pochodzenia modne krzewy, „zameca” przyrodnicze œrodowisko, z rodzimych gatunków promuj¹c najmniej wartoœciowe – topole i klony.

Upominam siê wiêc o dêby i lipy. Dziêki swej d³ugowiecznoœci potrafi¹ na sta³e wpisaæ siê w miejski krajobraz, pozostaj¹ w pamiêci nawet tych, którzy z ró¿nych przyczyn opuszczaj¹ rodzime miasto, s¹ piêknymi, ¿ywym ³¹cznikiem miêdzy pokoleniami.

Myœlê, ¿e drzewa s¹ najbardziej udanym dzie³em Stwórcy.

Lech Stefaniak

Wyrazy wspó³czucia  
Lechowi Stefaniakowi  
z powodu œmierci  
mamy  
kole¿y z Koninianów



## Z Andrzejem Mosiem rozmowa kontrolowana

Tytuś nie odnosi się do lat, o których chcielibyśmy jak najszybciej zapomnieć. Aby rozmawiać z Andrzejem nie tylko o filmie, trzeba go po prostu dyscyplinować. Wiem, że wolaliby wyciszyć kamerę i spokojnie rejestrować sytuację, tymczasem musi stać po drugiej stronie i pracować za interlokutora. Nie będzie to dla niego zbyt trudne, bo filmografia Andrzeja Mosia jest naprawdę imponująca. Tradycyjnie jednak zaczniemy ab ovo, od konińskich korzeni i sprawdzimy jak głęboko wrosły w tę ziemię.

**Andrzej Mosie:** – Właściwie to urodziłem się w Ostrowie Wielkopolskim w 1952 r., ale już jako nieletnie pacholę, w roku 1960, znalazłem się w Koninie. Tak więc czas życia w miarę „ewidentny” sporowaliśmy się zalicza do stażu w Towarzystwie Przyjaciół Konina.

Stanisław Sroczyński: – Opowiedz więc, jak zaczynałeś swoją edukację oraz jak ją zakończyłeś.

**A.M.:** – Zaczynałem w „Jedynce”, potem w Liceum Ogólnokształcącym, oczywiście w starym Koninie, potem Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu na wydziale prawa, a jeszcze potem w Łódzkiej Szkole Filmowej.

**S.S.:** – No to mówić szczerze, byłeś prawie zawodowym studentem.

A kiedy zaraziłeś się na poważnie działalnością artystyczną?

**A.M.:** – Tak na poważnie zaczęło się w kabarecie „Osemka” w Liceum. Tutaj też zaczęła się moja współpraca i przyjaźń z Jankiem Kaczmakiem. Było ciekawie, kabaret prowadził profesor matematyki, pan Mirosław Bachera.

**S.S.:** – Spotkanie Bachery, Mosia, Kaczmaka i paru im podobnych mogło zakończyć się prawdziwą „rewolucją kulturalną”.

**A.M.:** – Ale jak widzisz, wszystko zakończyło się dobrze, a nawet bardzo dobrze – myślenie oczywiście o Oscarze Janka Kaczmaka.

**S.S.:** – Andrzejku, o Janie A.P. Kaczmaku powiedziano i napisano już prawie wszystko, pozwól, że wrócimy do Ciebie i zrobimy nieco dłuższą wycieczkę Twoich filmów – przynajmniej tych nagrodzonych.

**A.M.:** – Po trzyletniej pacy w Warszawskich „Zespołach Filmowych”, gdzie pracowałem przy siedmiu filmach, a to jako asystent kierownika produkcji, a to jako kierownik planu, postanowiłem powrócić do Konina, aby i tutaj nieco „rozkręcić” kulturę filmową.

**S.S.:** – Ale jak pamiętam, zaczynałeś jako dziennikarz i fotoreporter w „Przełdzie Konińskim”.



**A.M.:** – Oczywiście – ale w stanie wojennym nie przeszedłem pozytywnie weryfikacji i ze względu na „reorganizację” przeniosłem się do Wojewódzkiego Domu Kultury, do działu fotografii i filmu. Do dzisiaj jestem wdzięczny panu Kazimierzowi Lipińskiemu za odwagę, którą się musiał wtedy wykazać.

**S.S.:** – Czyli właściwie stało się poniekąd dobrze – mogłeś już wstąpić na „swojego” Pegaza. Zaczynaj wreszcie filmować!

**A.M.:** – Z powodów zasadniczych nie będę mógł recenzować tych filmów – myślenie jednak, że tytuły są dość adekwatne do treści.

**S.S.:** – Bez fałszywej skromności, Andrzejku – sprawa tych filmów, nie mało ludzi w Koninie już widziało.

**A.M.:** – No dobrze – zaczęło się od „Kameduli z Bieniszewa” (1988), w tym samym roku powstała „Więć kwiatami malowana” oraz „Dzień

palanta”. W roku 1989 „Harcerska powinność”, film o pierwszej niezależnej organizacji harcerskiej w Koninie.

**S.S.:** – Potem dłuższa przerwa i wspaniały film o Józefie Lewandowskim, „Ydzie z Konina”.

**A.M.:** – Tak, film nosi tytuś „Moja Atlantyda”, a scenariusz jest oparty na jego książce „Cztery dni w Atlantydzie”. Film zrealizowany w 1995 roku zakwalifikowano do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Filmowym „Humanity In the World”. Został również wyróżniony na V Międzynarodowych Dniach Filmu Dokumentalnego „Rozstaje Europy” w Lublinie. Film zaistniał z różnych powodów dopiero po 10 latach.

**S.S.:** – Z przyjemnością dodam, że Lech Hejman jest w permanentnym kontakcie internetowym z panem Józefem Lewandowskim i wspomina go

nawet w tym numerze „Koninianów”. Ale wracajmy do filmografii.

**A.M.:** – W 1997 powstaje „Spokojne piękno” (film o tematyce religijnej); w 1998 roku „Misterium w L'dzie” (tematyka podobna). W 1999 „Yjemy w Koninie”. „Stan środowiska naturalnego”. Do roku 2003 powstają jeszcze: rozwinięta forma „Dnia palanta”; „Ceramidka w Zagórowie” i jeszcze trochę innych.

**S.S.:** – Andrzejku, myślę, że gdybyś został przy swoim pierwszym „fachu” prawnika, miałbyś pewno więcej czasu dla siebie. A propos prawa, to chyba Twój wujek bronił w „procesach czerwcowych” w 1956 r. w Poznaniu.

**A.M.:** – Tak – cała moja rodzina to prawnicy, tylko ja jestem czarnowcem!

**S.S.:** – Może masz trochę genów po drugim wuju, słynnym zbieraczem pamiątek po Henryku Sienkiewiczu.

**A.M.:** – Być może, ale na szczęście chyba na nas dwóch czarne owce w rodzinie się kończą!

**S.S.:** – Co chciałbyś powiedzieć na zakończenie rozmowy?

**A.M.:** – Jako Prezesowi TPK muszę powiedzieć, że Koninem naszymi doświadczeniami i bardzo chciałbym, aby dokumentowanie filmowe miasta było zdecydowanie lepsze – szkoda nie utrzymywać piękna Tej Ziemi. Apel ten składam na ręce sponsorów oraz władz miejskich.

**S.S.:** – Serdecznie dziękuję za rozmowę i przepaszam Cię Andrzejku, że nie zdołałem skrupulatniej spisać wszystkich uczynków Twoich.

Stanisław Sroczyński



## Niegdysiejsze krajobrazy

Przyzwyczajeni do codziennego oglądania znajomych domów i ulic, nie zawsze zdajemy sobie sprawę, jak wyglądały te tereny przed zabudową.

Dzisiaj spróbujemy odtworzyć dawny wygląd dzielnicy naszego miasta, noszącej nazwę Glinka. Będzie to rozmowa o cegielni, która tu niegdyś była. Przed 1939 r. należała do ekonomii rzłdowej Stare Miasto i miała 153 morgi gruntu. We wspomnianym roku nabyła ją Mojez Kapłan. W czasie okupacji hitlerowskiej należała do budowlanej kopalni „Braunkohlenwerke”. Po wojnie do Kopalni Węgla i Fabryki Brykietów Morzysław-Marantów.

Na majątek Glinka składały się grunty rolne wraz z zabudowaniami oraz cegielnia. Zajmiemy się jej zabudowaniami. Stał tam dom mieszkalny, murowany z cegły, z dwuspadowym dachem krytym dachówką. W jego pobliżu kolejny dom, tyle że wykonany z bali drewnianych. Dach dwuspadowy kryty papą. Z domami mieszkalnymi ssiadowały długi na 27 metrów i szeroki na 10 budynek warsztatowy z przyległym do niego chlewem dla owiń. Była też murowana z cegły palonej maszynownia mieszcząca lokomobilę i inne urządzenia. Stały one na fundamentach betonowych. Dach maszynowni kryty papą.

Najważniejszą częścią cegielni były dwa prostokątne piece do wypalania cegły. Wymiary pieców? Proszę bardzo 36,0 x 13,0 x 3,0 m.

Ich mury z cegły ostro palonej a paleniska z cegły szamotowej. Obok

niegdysiejsze krajobrazy

niegdysiejsze krajobrazy

niegdysiejsze krajobrazy

niegdysiejsze krajobrazy

kilkumiesięcznych nieudanych próbach (rozpadanie się wysuszonych brykietów), produkcję przerwano.

Cegielnia została rozebrana na początku lat siedemdziesiątych, aby stworzyć miejsce dla więźniów i szkoły podstawowej, stojących na południe od ulicy Kardynała Wyszyńskiego.

Zygmunt Kowalczykiewicz (starszy)



A miało być tak pięknie



## Wiosna na Koninie

Wiosna zadomowiła się na dobre, a słońce podgrzewało nie gorzej.

Słowiana zaklinała Istwartę. Srebrnosuska rzeka przelewała się szerokim korytem. Ćwieżę zieleń zdobiła zarodła i drzewa. Wierzbowe bałki popielają kotkami na wiotkich gałkach. Wokół awierka i tirla coraz więcej ptaków. Najwyżej wznosiły się wronki, wydzwaniając pieśń wiosny Dadźbogowi, który z ocistym kręgiem płynął po niebie. Słowiana ciekawie rozglądała się po świecie, rada z powracającego życia, rodzice się w ciepłe promienie słonecznych. Oczy jej błyszczały radością. Zdjęła zawicie i jasne włosy otuliły jej twarz. Zrzuciła gieżo. Objęła się ramionami przed zimnem. Zsunęła chodaki. Spróbowała nogi, jak chłodna jest woda. Pochyliła się, nabrała wody w donie i skropiła nią ciało. Wzdrygnęła się z zimna. Zawołała, wysoko wznosząc ręce:

Wodo, wodo, płynca po piasku, płynca po mszarach, płynca po bagnach! Dodaj memu cięciu blasku, oczyść je z brzydoty! Ułycz krasę i gładkości! Niech oblicze me jak zorza, niechaj włosy jako lasy,

niech me ciało czysta woda do ruszki upodoba...

Wodo, wodo, pluszczca po piasku...

Zaklinała i baboliła, bowiem bała się wstąpić w zimną toń. W końcu z wrzaskiem i cieczeniem szybko się zanurzyła. Wskoczyła z wody i odziała w koszulę. Na miseczce leżąca przygotowana grudka soli. Cisnęła ją do wody:

Topielce, utopki, wodniki, łamije, mamuny, cewietliki! Sól wam sypie dla smaku Strawy, na posolenie. Nie krzywdźcie mnie i ssiadów Z Konina i z Dryjan...

Ucieniechnęła się. Uśagodziła zęmoce na nowe lato. Wspięła się na skarpę spokojniejszą i ufniejszą. Zpółziemianki unosiły się dym z ogniska domowego. Obejrzała się na szarą toń Istwarty. Wią się niezmiennie wiecznym nurtem, pośyśkując z ocięciem, bowiem słońce zachodziło za zakrętem rzeki. Kończyła się majowy dzień ciepłym powiewem zachodniego wiatru, który przyniósł z pobliskich zapach wiechliny, wyczyńca, tymotki i turzycy. W zarodkach rozległo się klaskanie słowika...

(Fragment powieści „Słowiana”

Wyd. Poznańskie, 1987)





# Spór o Przydzia<sup>3</sup>ki zwane również Piekielnic<sup>1</sup>

W systemie dawnej skarbowości miejskiej szczególne znaczenie przypisywano majątkowi miasta, którego zasadniczą częścią pozostawały grunty i budowle użyteczności publicznej oraz infrastruktura miasta w postaci placów, ulic, studni, latarni itp. Wyjątkowe miejsce zajmowały przy tym wspomniane grunty, zwąszcza takie, które mogły być wykorzystane pod uprawę lub jako łąki i pastwiska.

Do połowy ubiegłego wieku rolnictwo odgrywało bowiem ważną, aczkolwiek z wolna malejącą rolę w życiu gospodarczym Konina. Z faktu, że w mieście było przeciętnie ok. 50 tzw. mieszczan-rolników (dla których prowadzenie gospodarstwa było podstawą utrzymania rodzin), nie wynikało jeszcze rzeczywiste znaczenie tej gałęzi gospodarki. Dla wielu rzemieślników, kupców, a nawet przedstawicieli wolnych zawodów oraz urzędników, uprawa kawałka roli, ogrodu, hodowla krowy itp. pozwalała na pewną samowystarczalność i obniżenie kosztów utrzymania. O skali tego zjawiska świadczy fakt, że w 1839 r. na bédnich wódnianych 323 krowy należały do tzw. lokatorów, czyli miesz-

kańców nieposiadających w ogóle własnej nieruchomości. Nic więc dziwnego, iż mieszkańcy byli żywo zainteresowani stanem posiadania miasta, którego w takiej lub w innej formie pozostawali beneficjentami.

W tej sytuacji wszelkie kontrowersje związane z przebiegiem granic administracyjnych miasta, a tym samym jego gruntów, były nie tylko biurokratycznym problemem władz miejskich, ale sprawą ważną społecznie. W konsekwencji jeszcze w XIX stuleciu miasto toczyło szereg burzliwych sporów i procesów terytorialnych. Jednym z nich był spór z dzierżawcami, a następnie właścicielami dóbr Stare Miasto, którego przedmiotem było pastwisko położone na zachodniej granicy gruntów miejskich, tuż pod rzeczoną wsią Stare Miasto. Liczący (według pomiaru z 1828 r.) 127 mórg i 238 prętów obszar (ok. 71,5 ha) zwany był przez mieszkańców Starego Miasta „Piekielnic<sup>1</sup>”, a przez obywateli miasta Przydzia<sup>3</sup>kami.

Przez lata na pastwisku tym wypasali swój inwentarz zarówno mieszkańcy Konina, jak też właściciele wsi Stare Miasto i Rumin. Działo się tak dlatego, że wsie te należały do dóbr królewskich (później zwanych naro-

dowymi, a w końcu rządowymi) i trzymał je starosta koniński, a sam Konin był również miastem królewskim. Zwyczaj przetrwał upadek I Rzeczypospolitej, ale w 1812 r. doszło do pierwszego konfliktu i – jak to bywa w takich sytuacjach – obie strony zaczęły rościć prawa do spornego obszaru.

Zdaniem mieszkańców i władz Konina teren ten stanowił pierwotnie własność miasta, gdyż znajdował się na prawym brzegu strugi zwanej wówczas Pokrzywnic<sup>1</sup> (Powa), która na tym odcinku miała stanowić granicę miasta. Przeciwnego zdania był dzierżawca dóbr Stare Miasto i jego właściciel. Sporne pastwisko stało się zatem areną ustawicznych kłótni i wzajemnego przepędzania inwentarza, a nawet rękoczynów.

W 1821 r. ówczesny burmistrz doszedł do wniosku, że przekształcenie pastwiska w grunty orne i ich wydzielanie mieszkańcom Konina pozwoli na zwiększenie dochodów kasy miejskiej. Pomysł ten bardzo przypadł do gustu grupie obywateli chętnych do dzierżawy, co w konsekwencji doprowadziło do otwartego konfliktu. Gdy bowiem w końcu urzęd muncypalny przy użyciu siły zabronił właścicielom

wypędzać swój inwentarz, a za możliwość wypasu zaczął opłacać, naddzierżawca Starego Miasta wystąpił na drogę rządową, co też ze swojej strony uczyniły w odpowiedzi władze miejskie. Rzeczą jednak w tym, że obie strony nie były w stanie udowodnić swoich racji stosownymi dokumentami i sprawa utknęła w miejscowym sądzie pokoju.

Zaistniała sytuacja zmuszała jednak do działania władze administracyjne województwa kaliskiego, a w końcu Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych oraz Komisję Rządową Przychodów i Skarbu. Okazało się zresztą, że wystąpienie do sądu obu stron było w gruncie rzeczy nielegalne, gdyż zgodnie z postanowieniem Namiestnika Królestwa z 1818 r. wszelkie spory dotyczące rozgraniczenia dóbr skarbowych miały być rozwijane na drodze postępowania i decyzji administracyjnej. Wymienione komisje rządowe (czyli w istocie ministerstwa Królestwa) po rozpatrzeniu sprawy znalazły iście salomonowe rozwiązanie, gdyż w 1829 r. nakazano obu stronom wspólne korzystanie ze spornego pastwiska.

Wydawało się, że taka decyzja zakończy konflikt, ale było to tylko trudny i kruchy kompromis. Kiedy więc w 1847 r. strycharz cegielni miejskiej zarażony chorobą spornego gruntu – siasiadł z cegielni – skłócił z dwójką sił. Jednakże teraz sytuacja wyglądała pod względem prawnym zupełnie inaczej, gdyż w 1837 r. Skarb Królestwa sprzedał dobra staromiejskie braiom de Schuppe. Tym samym nie był

to jak dawniej spór o administracyjne rozgraniczenie własności rządowej i rozwiązanie mogące zapoczątkować na drodze rządowej. Oczywiście, tak jak przed awierawieciem, obie strony nie były w stanie przedstawić przed sądem jednoznacznych dowodów i trudno było oczekiwać szybkiego zakończenia sprawy. Realnym skutkiem wszczętych procesów były jedynie koszty, które obciążały zarówno kasę miejską, jak też właściciela Starego Miasta.

W tej sytuacji zdecydowano się po kilku latach na polubowne zakończenie sporu. W 1853 r. za zgodą właściciela Starego Miasta Alfreda Schuppe i magistratu Konina, reprezentowanego przez burmistrza Jana Rucińskiego, dokonano podziału spornego gruntu. Miasto Konin otrzymało 79 mórg i 88 prętów, a A. Schuppe 48 mórg i 150 prętów kwadratowych. Nieoczekiwanie jednak takie rozwiązanie stało się zarzewiem nowego konfliktu, tym razem wśród obywateli Konina. Umowy nie uznawał bowiem grupa mieszkańców pod przywództwem niejakiego Kawczyńskiego, którzy oskarżyli burmistrza o działanie na szkodę miasta i złożyli skargę do władz zwierzchnich. Co więcej nie poprzestali na krokach formalnych i w 1855 r. wypędzili swój inwentarz na cały obszar spornego pastwiska, a to było już przejawem jawnego buntu. Ostatecznie spór zakończyła dopiero decyzja Rady Administracyjnej Królestwa, która 5 lipca 1860 r. zatwierdziła warunki zawartej przez burmistrza ugody wraz z projektem podziału spornego gruntu.

Piotr Rybczyński



# Kawiarniani bywalcy

Chodzi mi po prostu o taki cykl opowiadań o konińskich oryginałach, który chciałbym zamieścić w kolejnych numerach „Koninianów”. Byłaby owoce facejoniściów spora gromadka i każdy z nich wart jest oddzielnego opowiadania. Nie wszyscy z nich postępowali zgodnie z regułami mieszczkańskiej filozofii; nie reprezentowali niezłomnych i nieskazitelnych charakterów. Często znajdowali się w stanie „wskazującym na spożycie”. Proszę zatem, pod zmyślnym zresztą imieniem, nie doszukiwać się konkretnej osoby, siada, członka rodziny itp.

Była w Koninie, za dobrych starych czasów, kawiarenka bez nazwy. Mieściła się po przeciwnej stronie drzwi wejściowych restauracji „Europa”, w budynku u wylotu ul. 3 Maja na pl. Wolności, gdzie dzieło rozlokowało się biuro notarialne. Kawiarenka dysponowała dwoma maciupeńkimi pomieszczeniami; w jednym z dwoma, w drugim z czterema stolikami. Można tam było zamówić małą kawę i bez protestów obsługi okupować stolik przez pół dnia. Starzy bywalcy przechodzili tam, aby przyjrzeć białej prasie, pograć w brydża, wymienić poglądy na aktualne tematy, słowem – luz absolutny. Tę atmosferę zawdzięczać należało w dużej mierze kierującemu kawiarenką, uroczej p. Marii Jędrzejczakowej, miłej i życzliwej dla wszystkich gości. Wiem, dzisiaj w dobie biznesu, gdzie klient jest tyle wart, ile zapłaci, trudno zrozumieć atmosferę panującą w naszej kawiarence.

Kawiarenka była cewiadkiem wielu zabawnych wydarzeń. Był taki

okres, w którym dwaj przyjaciele od wspólnego stolika, Pan A. i Pan J., nieco może nadmiernie korzystali z kawiarnianego bufetu. Wreszcie obaj powiedzieli sobie stop! – jeżeli od dzieła jeden spotka drugiego, promieniującego nawet odrobiną alkoholu, ma prawo delikwenta spoliczkować. Minęły dwa tygodnie. Obaj panowie spotkali się w kawiarence i... obaj publicznie dali sobie w pysk.

Swego czasu p. Zygmunt, barwna postać konińskiej bohemy, zajął jeden ze stolików kawiarni. Przy drugim rozsiadła się jakas grupka młodych ludzi. Pan Zygmunt był już posiwiastym, ale prosto trzymającym się starszym panem. Zamówił trochę tam kolejną lampkę wina, bo wypić lubi. Siedni stolik też nie oszczędzał truneków, więc w którymś momencie jeden z młodych zaczął bawić się cewiatem. Pstryk – jest cewiatem, pstryk – cewiatem nie ma, jest – nie ma, jest – nie ma...

Pan Zygmunt zdenerwował się zabawą młodych. Zareagował stanowczo: – Szczeniaku, w tej chwili zapal cewiatem! – Młody, obrażony na wytkniętą mu szczeniakowatość, przekornie znów zaczął kontynuować zabawę. Tu już p. Zygmunt nie wytrzymał. Wstał i energicznym krokiem, na jaki pozwala mu ilość wypitego alkoholu, udał się do wyjścia. Wrócił i oznajmił: – Nie potrafisz się zachować, siadaj, zaraz będzie tu milicja! – Młody przestraszył się. Zaczął tłumaczyć swoje zachowanie niewinną zabawą, trochę alkoholem. Zaczął przeproszać. Zmięknęło do reszty. Serce w p. Zygmunca drgnęło. – Chodź tutaj! – nakazał młodemu. Wystąpił na czerdek kawiarni,

młody podszedł. Przepraszasz? – Przepraszam – zaczął młody. Obejmij mnie! – p. Zygmunt rozpostarł ramiona i w teatralnym geście przytulił skruszonego do swego serca... I na tę patetyczną scenę weszli milicjanci. – Ktoś wzywa milicję? – zwrócili się do p. Marii. Pan Zygmunt odsunął od siebie młodziaka i w adycznym gósem zakomunikował: – Ja, ale już jesteście, panowie, niepotrzebni. Możecie odejść! Zabrano ich obu. Wrócili po kilku minutach. Przecięli też byli znajomi milicjanci.

Jan Sznajder



Pilnuje wiosny



Czy mnie kochasz – może...

## Debiuty

# Maria Matczak

nie chcę Cię teraz  
lecz wiem  
że gdy wieczór nastanie  
zatęsknię  
do Twoich słów dotyku  
miłości

kocham  
choć Ciebie kochać nie  
powinam  
zniknij z moich oczu  
bo ja odejść nie mogę  
ta myśl boli  
mówisz i to miłość